Jacek Cygan

Przeznaczenie, traf, przypadek

Opowiadania

Jacek Cygan

Przeznaczenie, traf, przypadek

Opowiadania

Fotografie

Leszek Mądzik

znak litera nova

KRAKÓW 2016

Copyright © by Jacek Cygan

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Fotografie na pierwszej stronie okładki
Copyright © Tim Robinson/Arcangel Images

Redakcja
Maria Gantz

Opieka redakcyjna
Przemysław Pełka
Magdalena Suchy-Polańska

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku
MELES-DESIGN

ISBN 978-83-240-3589-2

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2016
Druk: CPI Moravia Books s.r.o.

Tenor

1

To było tak proste, jak tylko mogło być. Albo jeszcze prostsze. Na bruku Piazza Navona stał wzmacniacz wielkości małej walizeczki, za nim jakieś sfatygowane urządzenie do puszczania płyt kompaktowych. I stał Tenor. Z początku wyglądało na to, że Tenor śpiewa, ale po chwili okazywało się, że śpiewa tylko ciałem. Wytłumaczę ci to pokrótce. Tenor śpiewał wszystkimi częściami swego ciała. Używał rąk, tułowia, odrzucał do tyłu swoje siwe włosy, stroił miny, nawet nogi stawiał w taki lub inny sposób – raz bohatersko, raz lirycznie. Nie używał tylko gardła. Tak, Tenor udawał, że śpiewa. Powiesz, że to bezczelne oszustwo, i będziesz miał rację. Powiesz, że ten niby-tenor powinien być za to przegoniony z Piazza Navona, gdzie przecież połykacz ognia łykał prawdziwy ogień, a akrobata naprawdę stał na głowie i robił salta. Powinien, ale tak się nie stało. Ludzie zatrzymywali się zainteresowani, a raz usłyszałem, jak młoda dziewczyna powiedziała do swojego chłopaka: „Słuchaj, ten dziadek jest super!". Tak, ludzie zatrzymywali się i patrzyli. Zauważ, że specjalnie nie użyłem słowa „słuchali". Patrzyli, oglądali, gdyż to im się

podobało. I, rzecz oczywista, wrzucali pieniążki do czarnego melonika, który prowokująco leżał na bruku przed Tenorem. Bo, widzisz, to naprawdę było dobre. Spróbuj tylko to sobie wyobrazić. Słyszysz znane arie operowe, stoi spory tłum. Podchodzisz. Widzisz starszego pana w staromodnym surducie karminowego koloru, ze złoceniami na ramionach. Zbyt duży kołnierz opada mu na plecy. Surdut jest ozdobiony złotymi frędzlami. Przy każdym ruchu kostium żyje, połyskuje w świetle latarni. Zapytasz, jakie ruchy może wykonywać dziadek udający, że śpiewa operowe arie? To właśnie było największym zaskoczeniem dla publiczności! Tenor otwierał usta, bo nie muszę ci chyba mówić, że trafiał idealnie w tekst arii. Najważniejsze było to, że w zależności od rodzaju muzyki zmieniał się wyraz jego twarzy, cała jego sylwetka. Raz był przystojnym amantem, raz zakochanym pajacem, to znów niezłomnym rycerzem. Fenomenalnie wystudiowane gesty, gra ciałem i prawdziwa ekspresja. Uwierz mi, że kiedy nagle w miłosnej rozpaczy łapał się za serce, na twarzach widzów malował się niepokój o jego stan zdrowia. A gdy za chwilę kłaniał się z uśmiechem, ludzie entuzjastycznie bili mu brawo. To wszystko było świetnie do siebie dopasowane – najsłynniejsze arie operowe, wyleniały Tenor i takie starcze udawanie. Tak, oszustwo, stuprocentowe oszustwo, ale jednocześnie prawda. Bo w tym wszystkim była zawarta jakaś tkliwość, czar nieudolności. A poza tym owo starcze udawanie było takim chwytaniem się deski przez rozbitka na pełnym morzu. Może dlatego w tłumie na Piazza

Navona, zanim dało się słyszeć operowe arie, można było dostrzec złoty żagiel rozpięty na stelażu, którym dziadek oznaczał miejsce swojego występu.

2

Pracowałem wtedy w samym centrum Rzymu, na ogół do późna, i lubiłem przechodzić przez Piazza Navona na Lungotevere, gdzie parkowałem samochód. Dziadek pojawił się wiosną i przez całe lato regularnie „śpiewał" każdego dnia oprócz poniedziałków. Zaręczam ci, że z tygodnia na tydzień stawał się coraz lepszy. Jak to się mówi – coraz lepiej „wyczuwał publiczność", która nie szczędziła monet, a czasem w meloniku zaszeleścił nawet prawdziwy banknot. Tenor miał swoje stanowisko przy fontannie Czterech Rzek, tuż przy wejściu na plac. Jakież było moje zdumienie, kiedy w połowie sierpnia, na przeciwległym krańcu Piazza Navona, przy fontannie Maura pojawił się drugi dziadek. Miał taki sam wzmacniacz, podobnie sfatygowane urządzenie do odtwarzania kompaktów i stosował taką samą technikę „śpiewania", a poza tym – wszystko było inne. Bo ten drugi dziadek wykonywał przeboje rockandrollowe. Ubrany był w kostium w stylu Elvisa Presleya – biały kombinezon z wysokim, postawionym kołnierzem i dwoma rzędami dużych srebrnych guzików na piersi. Te guziki, niczym srebrne monety, tworzyły wzdłuż nogawek rozszerzających się u dołu spodni połyskujące lampasy. Wokół bioder powiewały białe

frędzle. Na głowie miał bujną czarną perukę otulającą boki twarzy potężnymi bakami. W odróżnieniu od dziadka-Tenora miał przed sobą kwadratowy mikrofon z lat pięćdziesiątych na statywie. Za nim na stelażu widniał znak rozpoznawczy – kawałek czarnego żaglowego płótna ze srebrną czaszką. I dziadek dawał czadu. Z płyt leciały popularne kawałki, ludzie gromadzili się i patrzyli, jak dziwaczna postać w peruce wykonuje taneczne wygibasy. Trzeba uczciwie przyznać, że Elvis, jak nazwałem dziadka na własny użytek, znał się na rzeczy. Może nawet kiedyś był tancerzem, bo poruszał się bardzo profesjonalnie, a fani Elvisa Presleya mogliby docenić to, jak udatnie kopiował oryginalną choreografię króla rock and rolla. Szczególnie efektowne było ogrywanie przez Elvisa mikrofonu na statywie. Wyczyniał z nim cuda: okręcał dookoła siebie, wyginał się z nim do tyłu i do przodu, przyklękał, nawet kładł się na plecach, trzymając mikrofon nad sobą. Niezależnie od figury, którą wykonywał, piosenka była zawsze doskonale słyszalna. Ponieważ mikrofon był tylko makietą, a śpiewak był nieprawdziwy.

Kiedy około dziesiątej wieczorem, wracając z pracy, przechodziłem przez Piazza Navona, zatrzymywałem się najpierw przy Tenorze. Spora grupa turystów otaczała siwowłosego śpiewaka, biła mu brawo, wrzucała pieniądze do melonika. Ktoś krzyknął kiedyś: „*Bravo*, Caruso!". Z czasem zauważyłem, że największy aplauz wywołuje sposób „odśpiewywania" arii *La donna è mobile*. Ludzie klaskali wręcz szaleńczo, sypały się monety. Mając w uszach tę arię, przechodziłem na drugi koniec placu, gdzie drugi dziadek w ten sam sposób –

czyli grą ciała – wykonywał na przykład *Blue Suede Shoes*. W ten sam sposób, ale zupełnie inaczej. Kiedy przed rozpoczęciem tego numeru stał wyprostowany z małą wysłużoną gitarą zawieszoną na fioletowym sznurku i robił ów charakterystyczny gest „zdziwienia" lewą ręką, ludzie od razu bili brawo, bo widzieli w nim Elvisa! Ja też klaskałem i patrzyłem na niego z uśmiechem pełnym szczęścia. Tak, byłem szczęśliwy, że w pejzaż Piazza Navona wpisują się te dwa oryginały. Możesz mi wierzyć lub nie, ale to było dla mnie tak włoskie, jak włoskie są okropne stragany przy Krzywej Wieży w Pizie. Powiesz, że jestem pozbawiony gustu, że to z pewnością zalatywało szmirą, że było kiczowate. Tak, to było jakby przeniesione z prowincjonalnego wesołego miasteczka, tandetne i szmirowate, ale jednocześnie niesamowicie autentyczne tu, w samym centrum Rzymu, gdzie w cieniu rzeźb Berniniego i tak każdego dnia trwał gigantyczny ludyczny odpust.

3

Kiedy w listopadzie zrobiło się chłodno i zaczęły padać deszcze, Tenor i Elvis przestali przychodzić na Piazza Navona. Ale w maju następnego roku zaczęli pojawiać się znowu, a ja znowu stałem się ich wiernym wieczornym widzem. Przepraszam za to, co teraz powiem, to jest może niezbyt eleganckie, lecz wydawało mi się wtedy, że Elvis bardzo się postarzał. Widać to było zwłaszcza w repertuarze figur z mikrofonem, robił też dłuższe przerwy pomiędzy numerami.

Odwracał się wówczas plecami do publiczności, ocierał twarz kraciastą chustką. Rzecz jasna, turyści nie byli w stanie zauważyć żadnej zmiany, ale ja byłem już wtedy jego wytrawnym fanem. Zapytasz, co zmieniło to spostrzeżenie w moim odbiorze Elvisa. Ano jeszcze głośniej biłem mu brawo i jeszcze więcej monet wrzucałem do leżącego przed nim kowbojskiego kapelusza. W lipcu zdarzały się wieczory, gdy przy fontannie Maura było pusto. Miałem wtedy poczucie, jakby ktoś nawalił, czegoś nie dopilnował, odczuwałem coś w rodzaju pretensji. I zaręczam ci, że moja determinacja sięgała tak daleko, iż gotów byłem pójść z reklamacją, ba, z awanturą do jakiejś dyrekcji teatru, że odwołano spektakl, a publiczność nie została o tym poinformowana. Ale takowej dyrekcji nie było. Pod koniec lipca Elvis wrócił na swoje stanowisko i wydawało się, że jest w szczytowej formie. Wydarzyła się wówczas taka oto historia. Może nie powinienem o tym mówić, ale chcę ci pokazać, jak pod jej wpływem zmienił się mój stosunek do Elvisa. Pewnego wieczoru, kiedy odbywał się normalny show i dziadek żonglował mikrofonem na statywie, nagle tak nieszczęśliwie nim się zamachnął, że zerwał sobie z głowy czarną perukę. To był ułamek sekundy, ale ludzie zaczęli się śmiać. Peruka szybko wróciła na swoje miejsce, lecz w dziadku coś pękło, nie był już tym samym Elvisem co przedtem. I we mnie też coś pękło. Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Dotychczas traktowałem to wszystko jak zabawę, ale kiedy w tej krótkiej chwili prawdy zobaczyłem chudziutką łysą głowę starego, bardzo starego człowieka, zrozumiałem,

ile wysiłku kosztuje go odgrywanie co wieczór tańczącego rockandrollowca. Tak, pierwszy raz ta jego starość, o której przecież od zawsze wiedziałem, stała się dla mnie bolesna. Dziadek zresztą tego wieczoru szybko się spakował i zniknął z Piazza Navona. Cały sierpień plac w tym miejscu świecił pustką. Turyści zmieniali się i mało który z nich w ogóle zdawał sobie sprawę, że nie ma już symetrii, że Tenor został sam, że już nie jest tak jak wcześniej.

4

Jakże wielką poczułem radość, kiedy na początku września Elvis pojawił się znowu. Pamiętam, że było to w piątek wieczorem. Wyszedłem z pracy przed dziewiątą i przy fontannie Czterech Rzek zobaczyłem w miejscu Tenora jakiegoś pomalowanego na biało mima. „Nie ma Tenora? Świat się kończy" – powiedziałem na głos sam do siebie. Ruszyłem w stronę Lungotevere i nagle usłyszałem *Blue Suede Shoes*. I zobaczyłem Elvisa. Wydał mi się jakiś odświeżony, bardziej energiczny, choć musiał ostatnio przytyć, bo kostium na nim wyglądał na przyciasny. „E, czepiasz się niepotrzebnie – powiedziałem do siebie, kiedy show mnie wciągnął. – Przecież to ta sama peruka, ten sam nos niczym kartofel, ten sam styl". Pomyślałem, że może wrócił ze szpitala, może go tam podleczyli? Tego dnia wrzuciłem do kowbojskiego kapelusza dziesięć euro. W następnych dniach Tenor i Elvis pojawiali się nieregularnie. Raz występował Tenor, a nie było

Elvisa, innym razem królował Elvis, a miejsce Tenora było puste. „Tak już będzie – mówiłem do siebie – robią się coraz starsi". W drugiej połowie września coś zaczęło mnie niepokoić w występach Elvisa. To były drobne szczegóły: pojawiły się gesty, których dziadek nigdy przedtem nie wykonywał, zniknęły natomiast te, które robił zawsze. No, to nie była sytuacja, w której miałbym zaraz żądać zwrotu pieniędzy za bilety. Zresztą turystom Elvis bardzo się podobał, może nawet bardziej niż kiedyś. Mnie jednak coś nie pasowało. Nie dawało mi to spokoju, aż pewnego wieczoru zrobiłem coś, o co bym się nigdy nie podejrzewał. Elvis skończył swój show około jedenastej w nocy, spakował graty, wziął w rękę wzmacniacz i ruszył w stronę stacji metra. A ja zupełnie bezwiednie zacząłem go śledzić. Wsiadłem za nim do wagonu metra, razem z nim wysiadłem na jednej z końcowych stacji. Przy wyjściu ze stacji dziadek czekał na mnie za zakrętem. Byłem zaskoczony, kiedy nagle zobaczyłem jego twarz tuż przy swojej.

– Znam pana z placu. Przyjechał pan tu za mną. Pan mnie śledzi – powiedział cicho.

– Proszę się nie obawiać, chciałem tylko porozmawiać – odpowiedziałem pojednawczym tonem.

– To proszę za mną, mieszkam tu niedaleko. Muszę szanować moich najwierniejszych widzów – skłonił się i uśmiechnął.

Szliśmy pod górę jakieś pięć minut, aż moim oczom ukazał się ponury pięciopiętrowy dom. Wjechaliśmy windą na ostatnie piętro. Gospodarz otworzył stare drzwi, które

kiedyś były wypolerowane do połysku. Weszliśmy do dużego mieszkania pachnącego tajemnicą. Lata świetności miało tak dawno za sobą, że pewnie już o nich zapomniało. Usiedliśmy w salonie, który był połączeniem garderoby z teatralną przebieralnią.

– Więc chce mnie pan zdemaskować? – powiedział, nalewając do dwóch kieliszków białe wino.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Dziadek sam podsunął mi odpowiedź. Usiadł przed lustrem, ściągnął górę biało-srebrnego kombinezonu Elvisa, zdjął czarną perukę i najzwyczajniej w świecie oderwał sobie nos. A potem watką nasączoną tonikiem zaczął ścierać z twarzy grubą warstwę pudru, kleju i farby. Patrzyłem na to osłupiały. Na moich oczach, w ciągu kilkunastu sekund, Elvis zmienił się w Tenora. Milczałem. Dziadek siedział przede mną w przepoconej białej koszuli.

– Pewnie zapyta pan, dlaczego to robię? Sam nie wiem, proszę pana, sam nie wiem – zaczął z wolna.

– Co się stało z prawdziwym Elvisem? – spytałem.

– Umarł w połowie sierpnia. Dostał wylewu i umarł. Kiedy minęły dwa tygodnie, a on nie przychodził, zacząłem sobie wyrzucać, że nawet nie wiem, jak się nazywa, gdzie mieszka.

Rozejrzałem się po pokoju. Na jednym z wieszaków odkryłem karminowy surdut ze złoceniami na ramionach. Dziadek wypił trochę wina. Wydawał się bardzo zmęczony.

– Widzi pan, ja się na początku na niego obraziłem. No bo przecież to ja wymyśliłem ten sposób występowania,

a on mi go ukradł. Uniosłem się honorem, proszę pana, byłem zazdrosny. A przecież plac jest duży i było tam miejsce dla nas obu. Tego nie mogę sobie darować. Bo ja z tej zazdrości chodziłem, po cywilnemu oczywiście, i podpatrywałem jego warsztat. Nie ulegało wątpliwości, że musiał być kiedyś świetnym tancerzem. I zamiast przełamać w sobie niechęć, pozostałem obrażony. A może on na końcu potrzebował pomocy?

– Ale przecież wreszcie go pan odszukał – powiedziałem ostrożnie.

Dziadek podniósł na mnie wzrok.

– Przecenia mnie pan. Pod koniec sierpnia poszedłem odwiedzić starego przyjaciela, który na via di Ripetta ma renomowaną wypożyczalnię kostiumów. Siedzimy tam razem, pijemy wino. Aż tu nagle wchodzi jakaś babcia i przynosi ten biały kombinezon Elvisa. Pytamy, skąd to ma. Mówi, że z mieszkania sąsiada, że znalazła to z przyczepioną kartką z wypożyczalni. Pytamy, co to znaczy „znalazła". Odpowiada, że właśnie likwiduje to mieszkanie, bo sąsiad umarł. I że nie miał nikogo. Wylew, paraliż, kilka dni męczarni... i po wszystkim. I wie pan co, nie mogłem sobie odmówić jednego pytania. „Niech mi pani łaskawie powie – zapytałem, gdy babcia zbierała się do wyjścia – czy ten pani sąsiad był kiedyś tancerzem?". „Roberto tancerzem? – zareagowała oburzeniem. – Nie, był tenorem w operze, ale to było bardzo dawno temu". A potem babcia sama z siebie się rozgadała i zaczęła opowiadać, jaki to jej sąsiad był genialny, choć niedoceniony, bo nigdy nie

zrobił wielkiej kariery. I jak kochał te... długo szukała właściwego słowa, aż powiedziała ostrożnie: „występy na Piazza Navona". Na koniec dodała: „Roberto był bardzo biedny, ale niech panowie nie myślą, że robił to dla pieniędzy. On to robił, żeby zabić samotność". I powiem panu, że w jej słowach było tyle miłości...

Gospodarz dolał wina do kieliszków, w których widać już było dna. Przez chwilę milczeliśmy. Przysięgam ci, że zrobiło mi się wstyd tej mojej podejrzliwości, tego, że siedzę tu i wyciągam ze starego człowieka takie zwierzenia. Dziadek jakby to wyczuł.

– Właściwie to się cieszę, że pan tu jest. Że mogę panu to wszystko opowiedzieć. Od zeszłej wiosny obserwuję, jak codziennie stoi pan przede mną i słucha. Przepraszam, raczej ogląda. Jest pan moim najwierniejszym widzem. A potem zawsze szedł pan na drugi koniec placu. I patrzył na niego. Czy pan rozumie, co ja czułem, kiedy dowiedziałem się, że on był tenorem? Przecież on powinien być na moim miejscu. A ja mu zabrałem show. I wtedy postanowiłem, że Elvis będzie żył. Wziąłem jego kostium, zgromadziłem nagrania i zacząłem ćwiczyć. Resztę już pan zna.

Wstałem, podziękowałem i zamierzałem wyjść. Gospodarz zatrzymał mnie ruchem ręki.

– Niech pan mi powie, czym się zdradziłem, po czym pan poznał?

– Kiedy dostawał pan duże brawa i kłaniał się publiczności, przykładał pan prawą dłoń do piersi. Tak jak robił to pan po *La donna è mobile*. Elvis tego nie robił.

Dziadek, o którym teraz zacząłem myśleć jako o starszym panu, uśmiechnął się i rzekł:

– Najtrudniej zapanować nad emocjami, gdy jest się szczęśliwym.

Podziękowałem raz jeszcze i ruszyłem do drzwi. Nurtowała mnie jednak jeszcze jedna sprawa.

– Przepraszam, jeśli wolno zapytać, kim pan jest z zawodu?

Odpowiedziało mi ciche chrapanie gospodarza. Spał z odchyloną do tyłu głową, z kieliszkiem niedopitego wina w ręku. Wyjąłem kieliszek z jego dłoni i ostrożnie postawiłem na stoliku. Potem wyszedłem, zamykając starannie drzwi. Kiedy byłem już na korytarzu, uchyliły się drzwi naprzeciwko i wyjrzała zza nich starsza pani w szlafroku.

– Jak to dobrze, że odwiedził pan pana mecenasa. On tu w tym wielkim mieszkaniu jest taki samotny.

Wyszedłem na ulicę. W dole widać było rozświetlony Rzym. Niczym młody chłopak zbiegałem w dół zygzakiem od lewej strony ulicy do prawej. Czułem, że przyłapałem życie na małym oszustwie, a ono nie miało wyjścia i musiało wyjawić mi tajemnicę, którą na razie zna tylko dwóch ludzi na świecie. Ja i Tenor.

JACEK CYGAN, niezrównany poeta polskiej piosenki, teraz mierzy się z inną formą literacką. *Przeznaczenie, traf, przypadek* to zbiór opowiadań, które dotykają tego, co nieuchwytne, ale dla nas najważniejsze.

Bohaterowie tej książki z powodu pozornie błahych zdarzeń stają przed koniecznością przewartościowania całego życia. Choć bardzo chcą, nie potrafią zrozumieć tej „magii", która wykrzywia ich ścieżki, nie dając się objąć umysłem i emocjami. Za sprawą przypadku lub – jak wolą inni – przeznaczenia stają w zdumieniu wobec niespodziewanych meandrów losu, często zawiedzeni, bo przecież chcieli tak niewiele, a innym razem niewytłumaczalnie szczęśliwi.

Czy przeznaczenie istnieje?
Czy o naszym życiu przesądza jedynie splot przypadków?

Autor za sprawą literackiej wrażliwości dostrzega pod powierzchnią codzienności więcej i wydobywa sens z pozornie nic nieznaczących zdarzeń.

„Nieczęsto się zdarza, by autor tylu znanych, co więcej, tak znaczących tekstów muzycznych szukał dla siebie miejsca w literaturze i zwracał się ku prozie. Poruszyła mnie głęboko ta potrzeba i skłoniła do przeczytania tych poruszających tekstów, z których niejeden mnie, staremu reżyserowi, rysuje się jak scenariusz przyszłego filmu. Przeznaczenie, traf, przypadek?..."

Andrzej Wajda

„Wdzięk to pierwsza z zalet znakomitych opowiadań Jacka Cygana. Nie potrafiłem oprzeć się uczuciu zazdrości, gdy poznawałem te krótkie, mistrzowsko opowiedziane historie z czytelnymi metaforami, puentami na swoich miejscach, przykuwającymi uwagę bohaterami i umiejętnością syntezy, której, jak podejrzewam, uczy poezja. Bo Jacek Cygan jest poetą, który tym razem inną ścieżką podąża ku najszlachetniejszej literackiej dystynkcji – wzruszeniu".

Eustachy Rylski

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-240-3589-2
9 788324 035892

E-book dostępny na woblink.com

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY